

MIŁOŚĆ CZY OJCZYZNA?

WILBUR  
SMITH

DAVID CHURCHILL

ŁZY WOJNY

ALBATROS

Dwa miesiące minęły od wypowiedzenia wojny i jesienne słońce, które świeciło na czystym, błękitnym niebie nad Bawarią, było tak wspaniałe, jakby nawoływało: „Kufle w dłoń, niech brzmią radosne pieśni!”. Lecz Oktoberfest odwołano już jakiś czas temu, a luksusowa limuzyna z odkrytym dachem, pokonująca krótki podjazd willi w Grünwaldzie pod Monachium, miała przynieść wieści, których w żadnym razie nie można by nazwać radosnymi.

Auto się zatrzymało. Szofer otworzył drzwi od strony pasażera, z limuzyny wysiadł dystyngowany, blisko siedemdziesięcioletni mężczyzna i kamerdyner poprowadził go do domu. Chwilę potem hrabina Athala von Meerbach podniosła wzrok, gdy adwokat rodziny, Viktor Solomons, został wprowadzony do salonu. Mimo że włos miał przyprószony siwizną i poruszał się nie tak żwawo jak niegdyś, to nienaganny krój garnituru, lśniąca biel idealnie wykrochmalonego kołnierzyka koszuli i nieskazitelny blask butów wskazywały, że ich właściciel jest gotów działać równie precyzyjnie, szybciej i wnikliwie jak zawsze.

Solomons zatrzymał się przed fotelem Athali i z szacunkiem skłonił głowę.

– Dzień dobry, pani hrabino – powiedział.

Zdawał się przygaszony, co było całkowicie zrozumiałe, jak uświadomiła sobie Athala. Ukochany syn Solomonsa, Isidor, przebywał daleko na froncie. Żaden rodzic nie mógłby zachować bez troski, wiedząc, że los jego dziecka jest na łasce bogów wojny.

– Dzień dobry, Viktorze, co za niespodziewana przyjemność widzieć cię tutaj. Zechciej spocząć. – Athala kruchą dłonią wskazała fotel naprzeciwko. Odwróciła się do kamerdynera, który wprowadził gościa i teraz oczekiwał dalszych poleceń. – Braun, proszę, podaj kawę *Herr Rechtsanwalt* Solomonsowi. Masz ochotę na ciasto, Viktorze? Może trochę strudla?

– Nie, dziękuję, pani hrabino.

Athala dosłyszała w głosie Solomonsa posępny ton i starszy pan wydawał się dziwnie uciekać wzrokiem. Przynosi złe wieści, pomyślała. Czy chodzi o chłopców? Coś im grozi?

Nakazała sobie spokój. Okazywanie strachu nic nie da, zwłaszcza w obecności służby.

– To wszystko, Braun – powiedziała.

Kamerdyner opuścił salon. Athala nagle zapragnęła jeszcze na chwilę odwlec te złe wieści.

– Powiedz mi, jak się wiedzie Isidorowi? Mam nadzieję, że nic mu nie zagraża.

– Och, nie, dziękuję za troskę, pani hrabino – odrzekł z roztargnieniem Viktor, jakby część jego umysłu była zajęta innymi myślami. Jednak ogromna duma z ukochanego syna kazała mu dodać: – Wie pani, dywizja Isidora służy pod komendą samego następcy tronu, księcia Wilhelma. Niebawem! Zaledwie tydzień temu dostaliśmy od niego list, w którym pisze, że przeszedł chrzest bojowy. Jego dowódca, major, oświadczył, że Isidor spisał się znakomicie pod ogniem nieprzyjaciela.

– Och, nie wątpię. Isidor to niepospolity młodzieniec. A więc... o co chodzi, Viktorze, z czym przybywasz?

Solomons wahał się chwilę, zbierając myśli, po czym z westchnieniem odparł:

– Obawiam się, że muszę powiedzieć to wprost, pani hrabino. Ministerstwo Wojny w Berlinie poinformowało mnie dzisiaj, że pani mąż, hrabia Otto von Meerbach, nie żyje. Generał von Falkenhayn uznał, że lepiej, by usłyszała pani tę wiadomość od kogoś, kogo pani zna, niż zwykłą drogą telegraficzną lub od obcego oficera.

Athala bezwładnie osunęła się na fotel i przymknęła powieki, niezdolna wydobyć z siebie ani słowa.

– Wiem, że to musi być bardzo bolesne – dodał Solomons.

Tymczasem Athala odczuwała coś wręcz przeciwnego niż ból. Przemocną ulgę. Nic złego nie spotkało jej synów. I w końcu, po tych wszystkich latach, była wolna. Mąż nie mógł już w żaden sposób jej skrzywdzić.

Szybko wzięła się w garść. Od dzieciństwa wpajano jej, że bez względu na okoliczności jej delikatne, porcelanowe rysy twarzy powinny wyrażać jedynie spokojną, dystygowaną elegancję. Teraz druga natura nakazała jej ukryć za tą maską prawdziwe uczucia, tak jak pod powierzchnią stawu skrywa się niestrudzona praca nóg łabędzia, dzięki której z pozorną swobodą sunie on po rozmiętym lustrze wody.

– Jak zginął? – spytała.

– W wypadku lotniczym. Poinformowano mnie, że był zaangażowany w misję najwyższej wagi w służbie dla cesarstwa niemieckiego. Szczegóły są tajne, ale otrzymałem pozwolenie, by przekazać pani, że do wypadku doszło nad Brytyjską Afryką Wschodnią. Graf leciał swoim nowym wspaniałym statkiem powietrznym *Assagaj*\*, który odbywał dziewiczy lot.

– A więc to Brytyjczycy go zestrzelili?

– Nie wiem. Nasz ambasador w Bernie otrzymał od brytyjskiego ambasadora tylko informację, że hrabia nie żyje. Anglicy chcieli w ten sposób dać wyraz szacunku i czci, należnych pani świętej pamięci małżonkowi. Przypuszczam, że nie mają żadnych jednostek lotnictwa wojskowego w Afryce, więc musimy zakładać, że doszło do jakiegoś wypadku. Gaz, który unosi te sterowce, jest najwyraźniej bardzo podatny na warunki zewnętrzne.

Athala spojrzała Solomonsowi prosto w oczy i spytała z wielkim spokojem:

– Czy na pokładzie *Assagaja* była ona?

---

\* Z arabskiego: oszczep.

Solomons, podobnie jak każdy, kto miał choćby znikomą wiedzę o śmietance towarzyskiej Niemiec, doskonale wiedział, kim jest owa „ona”. Hrabia von Meerbach od dawna słynął z romansowania na lewo i prawo, ale w ostatnich latach był wręcz opętany na punkcie pewnej pani, czarującej piękności o lśniących czarnych włosach i fiołkowych oczach, Ewy von Wellberg. Błagał Athalę o rozwód, aby móc ożenić się z Ewą, lecz hrabina odmawiała: katolickie wychowanie nie pozwalało jej zerwać sakramentu małżeństwa. Tak więc wypracowali kompromis. Athala zamieszkała razem z synami w swojej willi o idealnie klasycznych proporcjach, w eleganckim miasteczku na południowy zachód od Monachium, gdzie można było spotkać sam kwiat bawarskiej socjety. Natomiast hrabia Otto osiadł w swym rodzinnym zamku nad Jeziorem Bodeńskim. Trzymał tam kochankę lub, jak myślała o niej Athala, dziwkę i widywał synów z rzadka, tylko wtedy, gdy mógł albo gdy miał na to ochotę.

– *Assagaj* znajdował się na terenach Meerbach Motorenwerke – odrzekł Solomons, mając na myśli gigantyczne zakłady produkujące silniki, źródło rodzinnej fortuny Meerbachów. – Wyższy urzędnik przedsiębiorstwa, obecny przy starcie sterowca, powiedział mi, że na pokładzie gondoli była kobieta. Ministerstwo Wojny poinformowało mnie, że *Assagaj* roztrzaskał się wraz z całą załogą. Nikt nie przeżył.

Athala pozwoliła, by przez jej twarz przemknął gorzki uśmieszek.

– Nie będę nawet udawać, że jest mi żal.

– Ani ja nie będę pani za to potępiać. Doskonale rozumiem, ile pani wycierpiała przez tę osobę.

– Drogi Viktorze, zawsze byłeś taki dobry i uczciwy. Jesteś...

– Przerwała. – Byłeś prawnikiem mojego męża, a jednak nigdy w żaden sposób mnie nie skrzywdziłeś.

– Jestem prawnikiem rodzinnym – skorygował delikatnie Solomons. – I dopóki należy pani do rodziny von Meerbachów, zawsze będę uważał panią za swoją klientkę. A teraz, jeśli mogę spytać, czy jest pani gotowa omówić konsekwencje tragicznego



odejścia męża?

– Tak, jestem gotowa – potwierdziła Athala i dopiero wtedy, z niezrozumiałego dla niej samej powodu, odczuła stratę, którą do tej chwili przyjmowała obojętnie.

Mimo wszystkiego, co wycierpiała, zawsze modliła się o to, by małżonek przejrzał na oczy i powrócił na łono rodziny. Teraz jej nadzieje bezpowrotnie runęły. Rozpłakała się i zaczęła szukać chusteczki w torebce, którą miała u stóp.

– Mogę pomóc? – spytał Solomons, sięgając do kieszeni.

Podziękowała ruchem dłoni i głowy, nie ufając swojemu głosowi. Wreszcie znalazła chusteczkę, otarła łzy, wzięła głęboki oddech i rzekła:

– Proszę mi wybaczyć.

– Droga pani hrabino, dopiero co utraciła pani męża. Bez względu na przykrości, jakie panią spotkały, był przecież mężczyzną, którego pani poślubiła, i ojcem pani dzieci.

Skinęła głową i powiedziała z żałością:

– Chyba jednak nie mam takiego kamiennego serca.

– Nigdy pani o to nie posądzałem. Ani przez chwilę.

Podziękowała mu ruchem głowy.

– Proszę mówić dalej... Jak sądzę, zamierzał pan opisać konsekwencje... – nie potrafiła się zdobyć na słowo „śmierć” – tego, co się wydarzyło.

– Owszem. Niestety, nie można odprawić pogrzebu, bo jeśli nawet odnaleziono ciało, Brytyjczycy do tej pory już je pochowali.

– Mój małżonek zginął, służąc na obczyźnie krajowi – rzekła Athala, prostując się, znów wytworna i opanowana. – Zasłużył na stosowne uroczystości pogrzebowe.

– Oczywiście. Myślę, że msza żałobna w jego intencji będzie absolutnie właściwa i rzeczywiście stosowna, na przykład we Frauenkirche w Monachium, a może sądzi pani, że bardziej odpowiednia byłaby msza w rodzinnej kaplicy w Schloss Meerbach czy nawet na terenie Motorenwerke.

– Frauenkirche – zdecydowała bez wahania Athala. – Nie wydaje mi się, by tereny fabryczne były należywym miejscem do

uczczenia pamięci hrabiego cesarstwa niemieckiego, a kaplica zamkowa jest zbyt mała, by pomieścić wszystkich, którzy zechcą przybyć. Czy ktoś z pańskiej kancelarii porozumie się z urzędem arcybiskupa, ustali datę i zajmie się organizacją uroczystości?

– Oczywiście, pani hrabino, to żaden kłopot. Czy wolno mi zaproponować Bayerischer Hof jako miejsce przyjęcia po mszy? Jeśli poda pani dyrektorowi hotelu ogólne wymogi, służba hotelowa będzie wiedziała, jak najlepiej spełnić pani oczekiwania.

– Niestety, w tej chwili trudno mi nawet zebrać myśli. – Athala zamknęła oczy, próbując opanować chaos w głowie i sercu. – Co się stanie z moimi synami i ze mną? – spytała po chwili.

– No cóż, wielkość i różnorodność majątku hrabiego oznacza, że testament będzie niezwykle rozbudowany. Zasadniczo jednak rodzinne dobra w Bawarii i większość udziałów w Motorenwerke przechodzą na pani starszego syna, Konrada, wraz z tytułem hrabiego von Meerbach. Pani młodszy syn, Gerhard, otrzyma mniejszościowy udział w spółce. Dochody uzyskiwane z rozmaitych posiadłości będą trafiały na fundusz powierniczy, dopóki każdy z pani synów nie skończy dwudziestego piątego roku życia. Do tego czasu przysługuje im sowite kieszonkowe plus, oczywiście, pokrycie kosztów nauki. Każdy dodatkowy wydatek będzie wymagał zgody zarządców funduszu.

– A kto to będzie?

– W pierwszej kolejności pani i ja.

– Mój Boże, że też Otto udzielił mi tyle władzy.

– Był tradycjonalistą. Uważał, że to matka powinna zajmować się wychowaniem dzieci. Ale zechce pani zwrócić uwagę na określenie „w pierwszej kolejności”. Kiedy Konrad osiągnie wiek dwudziestu pięciu lat i zacznie kierować interesami rodziny, przejmie też rolę zarządcy funduszu powierniczego brata, który wtedy będzie miał lat osiemnaście.

– Czyli przez siedem lat Gerhard, w razie potrzeby, będzie musiał prosić Konrada o pieniądze?

– Tak.

Athala zmarszczyła brwi.

– Niepokoi mnie, że władza nad majątkiem będzie tak nierówno rozłożona między braćmi.

– Pan hrabia wyznawał głębokie przekonanie, że rodzina wymaga silnego przywództwa jednostki. Tak jak naród.

– Ale czy on po prostu... Zakładam, że ja jestem zabezpieczona finansowo.

– O tak, jeśli o to chodzi, nie musi się pani martwić. Zachowa pani majątek swojej rodziny, a ponadto zatrzyma pani wszelkie ruchomości, biżuterię i dzieła sztuki, wszystko, co pozyskała pani w trakcie małżeństwa, i będzie pani do końca życia dostawać sowitą coroczną kwotę na własne wydatki. Będzie pani również mieć swoje miejsce w zarządzie.

– Nie dbam o ten przeklęty zarząd – powiedziała Athala. – To chłopcy są dla mnie ważni. Gdzie mamy mieszkać?

– To zależy wyłącznie od pani, czy chce pani przebywać tu, w Grünwaldzie, czy w Schloss Meerbach, czy też korzystać z obu nieruchomości. Pan hrabia wyznaczył specjalny fundusz na utrzymanie zamku i otaczających go terenów oraz na zatrudnianie pracowników koniecznych, by zachować standardy, jakich sam wymagał. A zatem znów pani może być panią na Schloss Meerbach.

– Do dwudziestych piątych urodzin Konrada...

– Tak, wtedy to on stanie się panem na tym zamku.

Kiedy Solomons odjechał, Athala poszła na górę do pokoju, w którym Gerhard spędzał czas. Traktowała go jak dar od Boga, nieoczekiwane dobrodziejstwo, a jego narodziny przyniosły rzadki moment radości w małżeństwie, które dawno porzuciło wszelkie widoki na ratunek. Gerhard został poczęty ostatniej nocy, gdy Athala i Otto spali razem. To było krótkie, pozbawione uczuć zespolenie, a w noc narodzin Gerharda Otto był gdzieś daleko, z Fräulein von Wellberg. Ale to właśnie dlatego Athala tak kochała swoje małżeństwo.

Rozważała, jak mu wytłumaczyć, że jego ojciec nie żyje.



Jak mówi się coś takiego trzylatkowi? Na razie nie miała serca odrywać Gerharda od jego ulubionej zabawy – stawiania budowli z drewnianych klocków.

Athala zawsze z zafascynowaniem przypatrywała się synkowi, gdy układał jaskrawe, kolorowe cegiełki. Miał instynktowne wyczucie symetrii. Stawiał klocek po jednej stronie zamku, domu lub chaty (Gerhard zawsze wiedział, co buduje), a potem drugi, taki sam, po przeciwnej stronie.

Nachyliła się i pocałowała synka w głowę.

– Mój mały architekt – szepnęła, na co chłopczyk cały się rozpromienił, bo najbardziej lubił, kiedy mama tak właśnie go nazywała.

Powiem mu, obiecała sobie w duchu Athala, ale nie teraz.

Przekazała synom tę wiadomość, gdy Konrad wrócił ze szkoły. Miał zaledwie dziesięć lat, ale już uważał się za pana domu, dlatego też nie okazał żadnej słabości, słysząc, że ojciec, którego był wierną kopią, nie żyje. Chciał natomiast poznać wszystkie szczegóły tego, co się wydarzyło. Czy ojciec bił się z Anglikami? Ilu ich zabił, nim go pokonali? Kiedy Athala nie potrafiła odpowiedzieć na jego pytania, wpadł we wściekłość i zwymyślał matkę od głupich.

– Ojciec miał całkowitą rację, że cię nie kochał – rzucił szyderczo. – Nigdy nie byłeś dla niego dość dobra.

Kiedy indziej Athala pewnie wymierzyłaby mu policzek za takie słowa, ale dzisiaj puściła je mimo uszu. Tymczasem złość minęła Konradowi równie szybko, jak się pojawiła.

– Jeśli ojciec nie żyje, czy to znaczy, że teraz ja jestem hrabią? – spytał.

– Tak – potwierdziła Athala. – Ty jesteś hrabią von Meerbach. Konrad wydał okrzyk radości.

– Jestem hrabią! Jestem hrabią! – skandował, maszerując dokoła pokoju, krępy, mały, rudy wartownik. – Mogę robić, co chcę, i nikt mi niczego nie zabroni!

Zatrzymał się przed budowlą brata, która urosła, klocek po klocek, niemal na wysokość samego budowniczego.

– Hej, Gerdi, popatrz na mnie!

Gerhard podniósł wzrok na starszego brata, uśmiechając się niewinnie.

Konrad kopnął jego wspaniałą budowlę, rozrzucając klocki. Kopnął jeszcze raz i jeszcze, aż ostatecznie zburzył całą konstrukcję i kolorowe gruzy rozsypały się po podłodze.

Twarzyczka Gerharda wykrzywiła się z rozpacz i szlochając, podbiegł do matki.

Athala przytuliła synka, spojrzała na małego hrabiego, stojącego dumnie nad swoim dziełem zniszczenia, i z goryczą zdała sobie sprawę, że została uwolniona od małżonka tylko po to, by popaść w niewolę u jeszcze okrutniejszego tyrana – własnego syna.

Szczuplutka dziewczynka miała na sobie bryczesy, które luźno wisały na jej chudych udach. Krótkie czarne włosy, równo przycięte, zwykle nieujarzmiane opaską czy spinkami, teraz upięła pod dżokejką w mały koczek. Jej piegowata buzia była złotobrązowa, a oczy przejrzyste, idealnie błękitne jak afrykańskie niebo, które oglądało każdy dzień jej życia.

Wszędzie dokoła rozciągały się trawiaste wzgórza z połyskliwymi strumieniami, jakby wyżyny Szkocji przeniesiono do ogrodu Edenu: czarodziejska kraina bezgranicznego urodzaju, niepojętych przestrzeni i fascynujących dzikich zwierząt. Tu leopardy wylegiwały się na konarach drzew, będących także domem dla rozgadanych małp i węży, takich jak opalizująca mamba zielona czy płochliwy, ale śmiertelnie jadowity dysfolid. Wśród wysokich traw kryły się lwy o ostrych kłach i pazurach oraz jeszcze bardziej zabójcze bawoły, których rogi potrafiły wbić się w ludzkie wnętrza tak łatwo, jak igła krawiecka zagłębia się w delikatne płótno.

Dziewczynka niewiele przejmowała się tymi zagrożeniami, bo

nie znała innego świata, a poza tym zaprzętały ją dużo ważniejsze sprawy. Gładziła jedwabisty pysk kucyka, urodzonej w Somali kasztanki, z którą była nierozłączna, od kiedy dostała ją na swoje siódme urodziny, osiem miesięcy temu. Kucyk miał na imię Kipipiri, czyli „motyl”, a w języku suahili słowo to było także nazwą wyniosłej góry na wschodnim horyzoncie, migoczącej w rozedrganym powietrzu jak miraż.

– Patrz, Kippy – odezwała się dziewczynka cichym, łagodnym głosem. – Patrz na tych wszystkich wstrętnych chłopaków i na ich ohydne ogiery. Pokażmy im, na co nas stać!

Obeszła kucyka i odtrącając pomoc stajennego, włożyła nogę w strzemień, odbiła się od ziemi i wskoczyła na siodło tak zręcznie jak zawodowy dżokej. Przywarła do szyi Kipipiri, gładząc kucykowi grzywę i szepcząc mu do ucha:

– Fruń, mój skarbie, fruń!

Ogarnięta wirem emocji – dumą, oczekiwaniem i odurzające podniecenie mieszały się ze zdenerwowaniem, lękiem i rozpaczliwym pragnieniem, by nie się nie ośmieszyć – dziewczynka nakazała sobie spokój. Dawno się nauczyła, że jej ukochany kucyk wyczuwa jej nastroje, więc za żadne skarby nie chciała, by ze strachu i przejęcia zaczął stawać dęba. Tak jak uczyła ją matka, wzięła długi, głęboki oddech, a następnie powoli, łagodnie wypuściła powietrze, aż poczuła, że jej napięty kark i sztywne barki się rozluźniają. Wyprostowała się i spięła kuca do stępa, podnosząc kurz z ogniście ceglanej ziemi, gdy ruszyła ku bramce startowej parkuru, który zbudowano na jednym z pól klubu polo w dolinie Wanjohi z okazji wyścigów konnych w 1926 roku.

Dziewczynka wpatrywała się w rozstawione, pozornie bezładu i składu, przeszkody. W głowie miała jedną myśl: „Wygram!”.

Z krokwi podtrzymujących daszek z blachy falistej nad werandą klubu zwisał megafon. Popłynął z niego ostry, metaliczny głos mężczyzny, przepuszczony przez wzmacniacz.

– A teraz ostatnia zawodniczka w klasie dwunastolatków i młodszych, panna Saffron Courtney na Kipi... pipi... piri... – Zapadła chwila ciszy, po czym mężczyzna mówi dalej: – Bardzo przepraszam, obawiam się, że przydużo tych „pipi”.

– I różowego ginu, co, Chalky?! – dobiegł okrzyk spośród widzów rozpartych na drewnianych ławkach rozstawionych na doroczny konkurs skoków, który członkowie klubu urządzali dla swoich dzieci.

– Do bólu prawda, starszku, do bólu – przyznał konferansjer i ciągnął: – Jak do tej pory mamy tylko jeden czysty przejazd, Percy’ego Toyntona na Raptusie, co oznacza, że wyłącznie Saffron stoi Percy’emu na drodze do zwycięstwa. Jest najmłodszą zawodniczką w tym konkursie, więc proszę o wielkie brawa, żeby podnieść ją na duchu.

Rozległ się ospały aplauz blisko pół setki białych osadników, którzy przyjechali oglądać swoje potomstwo lub po prostu korzystali z okazji, by zostawić farmy i interesy i przyjemnie spędzić ze sobą czas. W ciepłym słońcu wczesnego popołudnia i rozrzedzonym powietrzu, gdyż boisko do gry w polo leżało na wysokości niemal dwóch i pół tysiąca metrów, czuli senność, spotęgowaną jeszcze skutkami ich bohaterskich zmagania z alkoholem. Kilka szczególnie znużonych dekadencjonalnych dusz dodatkowo otumaniało się opium, podczas gdy co bardziej awanturnicze elementy kenijskiej socjety wyraźnie rozpierała energia lub podniecenie, prawdopodobny rezultat zażycia kokainy, którą ostatnio traktowano jak przedkolacyjny koktajl.

Jednak matka Saffron, Eva Courtney, zachowywała trzeźwy umysł. W siódmym miesiącu ciąży, po dwóch poronieniach od urodzenia córki, miała zakaz picia wszelkich napojów wysokobrowarowych, prócz okazjonalnej szklaneczki guinnessa na wzmocnienie. Popatrzyła w stronę przeszkód, rozstawionych na jednym z boisk do gry w polo, i ścisnęła dłoń męża.

– Powodzenia, mój skarbie – szepnęła i dodała głośniejszym głosem: – Mam nadzieję, że nie spadnie. – Jej ciemnofioletowe oczy przepełniała matczyzna troska. – To tylko dziewczynka, a spójrz na niektóre z

tych przeszkód.

Leon Courtney uśmiechnął się do żony.

– Nie martw się, kochanie – uspokoił ją. – Saffron to twoja córka. To znaczy, że jest dzielna jak lwica, śliczna jak różowy flaming i... twarda jak stary nosorożec. Bez szwanku dotrze do mety, zapamiętaj moje słowa.

Eva Courtney uśmiechnęła się i puściła jego rękę, by mógł wstać i podejść do linii boiska. Mój Borsuk, pomyślała. Nie usiedzi, nie potrafi z daleka patrzeć na swoją córeczkę. Musi być jak najbliżej miejsca akcji.

Dała Leonowi przezwisko „Borsuk” pewnego ranka kilkanaście lat temu, wkrótce po tym, jak się poznali. Tuż po brzasku pojechali konno na skraj Wielkiego Rowu i Eva dostrzegła zabawne stworzenie wielkości mniej więcej przysadzistego, muskularnego psa. Miało czarne futro na brzuchu i w okolicach tylnych łap, a białe i bladoszare na grzbiecie; rozglądało się po trawie niczym staruszek szukający swoich okularów do czytania.

„Co to jest?”, spytała Leona, a on odparł, że to miodożer, podobny do europejskiego borsuka. Powiedział jej, że ten niezwykle poszukiwacz jest jednym z najbardziej zawziętych i nieustraszonych stworzeń Afryki. „Nawet lew obchodzi go szerokim łukiem – dodał. – Zadrzyj z nim, a gorzko pożałujesz”.

Mógłby mówić o sobie, pomyślała Eva. Leon miał wtedy zaledwie dwadzieścia pięć lat i z trudem zarabiał na życie jako przewodnik safari. Teraz brakowało mu tylko roku do czterdziestki i chłopcę zapalczywość, która niegdyś płonęła mu w oczach, zastąpiła pewnością siebie mężczyzny w kwiecie wieku, przeświadczonego o swojej sprawności jako myśliwego i wojownika. Na jego czole, wokół oczu i ust pojawiły się głębokie bruzdy. Z odwieczną frustracją kobiet, dla których zmarszczki są przykrym znakiem, że młodość i uroda już przemijają, Eva musiała przyznać, że u jej mężczyzny wskazują one na doświadczenie i autorytet i wręcz czynią go bardziej atrakcyjnym. Był teraz nieco szerszy w ramionach, a w pasie już nie tak szczupły jak kiedyś, ale – kolejna niesprawiedliwość losu! – to tylko przydawało mu

siły i mocy.

Rozejrzała się po innych mężczyznach emigranckiej społeczności zebranej w tym zakątku Kenii. Jej wzrok spoczął na Josslynie Hayu, dwudziestopięcioletnim przysłym hrabim Erroll, dziedzicu Lorda Wyższego Konstabla Szkocji. Wysoki, silnie zbudowany, miał na sobie kilt, który często nosił na cześć swojego dziedzictwa, a przez ramię przerzucił somalijski szal w kolorze czerwonej ochry. Był bardzo przystojny, bożyszczę kobiet, zapatrzonych teraz w jego zaczesaną do tyłu blond czuprynę. Zimne niebieskie oczy o ciężkich powiekach spoglądały na świat, a zwłaszcza na płeć żeńską, z leniwą beczelnością drapieżnika oceniającego następnego posiłek. Hay uwiódł połowę białych kobiet w Brytyjskiej Afryce Wschodniej, ale Eva знаła ten typ aż za dobrze i była zbyt zadowolona z własnego samca alfa, by choć trochę interesowało ją dołączenie do listy zdobyczy Haya. Poza tym był o wiele za młody i za mało doświadczony, by przykuć jej uwagę. Co do reszty zgromadzonych tu mężczyzn, była to pstra mieszanina arystokratów zbiegłych z nowego świata powojennej Wielkiej Brytanii oraz dumni, choć jednocześnie modlący się o następną zastrzyk gotówki osobnicy, żyjący od przelewu do przelewu, a także poszukiwacze przygód zwabieni do Afryki obietnicą życia, na jakie nigdy nie mieliby nadziei w ojczyźnie.

Leon Courtney był inny. Jego rodzina mieszkała w Afryce od dwustu pięćdziesięciu lat. Władał suahili równie swobodnie jak angielskim, z miejscowymi Masajami rozmawiał w ich języku i znakomicie posługiwał się arabskim – podstawowym narzędziem pracy człowieka, którego ojciec rozpoczął działalność handlową opartą na jednym parowcu nilowym, a obecnie rozciągającą się od kopalń złota Transwału po egipskie pola bawełny i szyby naftowe na terenach dawnej Mezopotamii. Leon nikogo nie udawał. Nie musiał. Był dokładnie takim mężczyzną, na jakiego wyglądał.

Tak, Borsuku, mam szczęście, pomyślała Eva. Największe szczęście – kocham i jestem kochana.



Saffron na starcie opanowała nerwy. Po prostu muszę pobić Percy'ego! – powiedziała sobie w duchu.

Trzynaste urodziny Percy'ego Toynntona wypadały za tydzień, tak więc ledwo się zakwalifikował do udziału w tych zawodach. Nie tylko był prawie dwa razy starszy od Saffron, ale też on i jego koń byli dużo więksi i silniejsi niż ona i Kipipiri. Saffron nie uważała go za sympatycznego chłopca. Przechwalał się i lubił wykazywać swój spryt kosztem innych dzieci. Tak czy owak, przejechał parkur bez ani jednego błędu. Absolutnie musiała mu teraz dorównać i pokonać go w rundzie dodatkowej.

– Nie wybiegaj myślą za daleko – pouczył ją przy śniadaniu tato. – To bardzo ważna życiowa zasada. Jeśli masz poważne, trudne zadanie do wykonania, nie martw się tym, jak będzie ciężko. Rozłóż je na mniejsze, łatwiejsze części i z każdą po kolei się uporaj, aż na końcu zobaczysz, że dałaś radę. Rozumiesz?

Saffron zmarszczyła czoło i skrzywiła się lekko, myśląc o słowach taty.

– Chyba tak – bąknęła bez wielkiego przekonania.

– No więc trzeba zaliczyć czysty przejazd. To bardzo trudne, prawda?

– Tak. – Skinęła głową.

– Ale gdy przed skokiem patrzysz na daną przeszkodę, z pewnością zawsze myślisz, że dasz radę.

– Zawsze! – przyznała Saffron.

– W takim razie nie myśl, jak trudno zaliczyć czysto cały przejazd. Myśl o jednym łatwym skoku, potem o następnym i następnym... a kiedy dotrzesz do końca, zaliczywszy czysto wszystkie przeszkody, okaże się, że przejazd był bardzo łatwy.

– Och, rozumiem! – powiedziała z entuzjazmem.

Teraz spojrzała na nierówny szereg innych zawodników i ich rodziców, zajmujących miejsca po jednej stronie parkuru, i zobaczyła ojca. Pochwycił jej wzrok i energicznie do niej pomachał, uśmiechając się szeroko, co zawsze było dla niej krzepiące i dodawało jej otuchy. Odpowiedziała mu uśmiechem i skupiła się na pierwszej przeszkodzie, kopercie, zwykłej parze

skrzyżowanych drągów, tworzących leżące na boku „X”. Łatwizna! – pomyślała i poczuła nagły przypływ siły i wiary w siebie. Spięta Kipipiri do kłusa, potem do galopu i klaczka posłusznie minęła linię startu, kierując się ku przeszkodzie.

Leon Courtney za nic w świecie nie okazałby napięcia, które czuł, gdy Saffron ruszyła. Serce pękało mu z dumy. Mogła się zgłosić do ośmiolatek, ale oburzał ją sam pomysł, że miałyby walczyć z przeszkodami dla maluchów, z których najwyższa ledwo sięgała Leonowi do kolan. Tak więc uparła się, że wystartuje w starszej grupie wiekowej, i dla większości widzów już samo to było godne podziwu. Myśl, że mogłaby wygrać, nie mieściła się im w głowie. Ale Leon znał córkę. Do wszystkiego tak podchodziła. Zwycięstwo albo nic.

– Dalej, Saffron – szepnął, nie chcąc krzyczeć, żeby nie spłoszyć kuca.

Skierowała się galopem do pierwszej przeszkody, ściągnęła nieco wodze, po czym rzuciła się do przodu i przefrunęła nad samym środkiem koperty, zaliczając ją z wielkim zapasem. Uśmiechnęła się do siebie. I ona, i Kippy miały silną wolę i były uparte. Jak mówiła jej matka: „Niezłe z was ziółka, dziewczyny, jedna warta drugiej!”.

Kiedy miały sobie coś za złe, katastrofa była jak w banku, ale gdy się jednoczyły i podążały do tego samego celu, mogły zdobyć cały świat. Energia odbicia Kippy, idealne wyczucie równowagi przy skoku i lądowaniu, rytm, w jakim się poruszała, czujne postawienie uszu – wszystko to napępniało teraz Saffron nadzieją, że będzie to dobry dzień.

Ale drugie wyzwanie było znacznie trudniejsze. Podwójny szereg, dwie przeszkody, jedna zaraz po drugiej, tak że koń miał miejsce tylko na jeden krok.

– Dobra, mała! – szepnęła Saffron, gdy Kippy przemknęła nad pierwszą przeszkodą i wykonując idealny skok, zaliczyła drugą.

Zdenerwowanie minęło. Saffron była jednością ze zwierzęciem, kontrolowała całą energię skupioną w mięśniach Kippy, napiętych pod gęstą, ciemną, błyszczącą sierścią.

Zwolniła krok klaczy, obróciła ją o dziewięćdziesiąt stopni w prawo i nakierowała na trzy kolejne przeszkody. Pierwszą była zwykła biała bramka i kucyk pokonał ją bez trudu. Saffron jak na swój wiek miała długie nogi, choć chude jak u bociana, ale bardzo skróciła strzemiona, dzięki czemu łatwiej unosiła się nad siodłem podczas skoku. Potem był tylko jeden drąg, ale umieszczony ponad gałęziami drzewa zwanego „płomieniem Afryki”, wciąż obsypanego feerią czerwonych i żółtych kwiatów; i znów Saffron i Kipipiri bez problemu dały sobie radę.

– No niech mnie, Courtney, ta twoja mała fruwa lekko jak piórko – odezwał się jeden z widzów, sprawujący urząd miejscowego sędziego emerytowany major kawalerii Brett, gdy Saffron pokonała okser, przeszkodę złożoną. – I prowadzi konia jak rzadko kto. Piękny widok.

– Dziękuję, majorze – powiedział Leon, kiedy Saffron nakierowała Kipipiri na mur i rów z wodą. – Ale to żadna moja zasługa. Saffron trenuje tylko z matką. Nie uwierzyłby pan, ile godzin Eva spędziła z nią na wybiegu, obie uparte jak oślice, skaczące sobie do gardła jak dwa koty, ale Bóg mi świadkiem, opłaciło się. – Leon uśmiechnął się ze wzruszeniem, myśląc o najdroższych mu istotach. – Pan wybaczy na chwilę – dorzucił, znów bez reszty skupiając się na parkurze.

Niewiedziećczemu, klaczka miała okropny zwyczaj „maczania palca w wodzie”, jak to nazywał Leon. Zaliczała najwyższe, najszersze i najstraszniejsze przeszkody, ale przekonanie jej, że woda to przeszkoda, którą trzeba pokonać, a nie staw do kąpieli, często było zadaniem nad siły.

Gdy Saffron koncentrowała się przed czekającym Kippy wyzwaniem, Leon wziął głęboki oddech, próbując uspokoić puls.

Diabli wiedzą, co Saffron tam czuje, pomyślał. Ale jak na nią

patrzę, jestem roztrzęsiony.

Jedna przeszkoda na raz, jedna przeszkoda na raz, powtarzała sobie w duchu Saffron, wbijając oczy w mur.

– Dalej, mała! – Śpięła Kippy do galopu po spalonej ziemi.

Mur był wysoki. Pokonały go, nie strącając żadnej z drewnianych skrzynek na herbatę, z których zaimprovizowano przeszkodę, ale kucyk potknął się przy zeskoku i Saffron potrzebowała całych swoich umiejętności, by utrzymać go na nogach i nie stracić rozpędu. Kipipiri odzyskała równowagę i rytm i już mknęła w stronę rowu.

Saffron przysięgła sobie, że tym razem za żadne skarby świata nie skąpią się w wodzie. Doprowadziła klaczkę do pełnego galopu, ale źle wymierzyła odskok i wybiły się trochę za wcześnie, jednak miały taki rozpęd, że Kipipiri frunęła jak strzała nad drągiem, zostawiając za sobą rozległą kałużę mętnej, brązowawej wody. Saffron musiała użyć wszystkich sił, by powstrzymać zapal kuczka i znów zrobić zwrot – tym razem ostro w lewo – bo inaczej wypadłyby z parkuru.

Nie mogła złapać tchu, ale w duchu triumfowała. Bezbłędnie! Już prawie koniec!

Przed sobą miała niski płotek, trzy pasiaste drągi, jeden nad drugim. Komitet zawodów zdecydował się na tę wyjątkowo prostą przeszkodę, bo za nią umieszczono ostatnie i największe wyzwanie, wściekle trudny triple bar: zwykłą stacjonatę, mur ze snopków siana zwieńczony drągiem i w końcu okser, ustawione w odległości jednego końskiego kroku. Niektórym zawodnikom ledwo udawało się pokonać stacjonatę i jeszcze ostatnim wysiłkiem przeskoczyć mur, ale po prostu wbijali się w okser, nie umiając pokierować koniem. Tylko Percy pokonał cały triple bar, nie zahaczając o żadną przeszkodę.

Saffron musiała zaliczyć potrójny szereg. Zebrała resztki energii, jakie jeszcze miała, i przejechała tuż obok widzów, w myślach powtarzając układ kroków niezbędny do rozpoczęcia

tej kombinacji w takim miejscu i z taką szybkością, by wszystko zaliczyć. Prawie nie myślała o przedostatniej przeszkodzie, gdy Kipipiri ją przeskakiwała.

Kiedy tylne kopyta klaczki przelatywały nad drągami, Saffron wydało się, że słyszy za sobą głuchoe stuknięcie. Obejrzała się i zobaczyła, że drąg został trącony, ale wciąż był na swoim miejscu, więc przestała się nim przejmować. Niemal nie widząc ludzi, których pędem mijała, nie słysząc ich cichych okrzyków, zbliżała się do pierwszej z trzech przeszkód. Idealnie wymierzyła odskok, zaliczyła stacjonatę, utrzymała właściwą długość kroku Kippy przed drugim skokiem, pokonała mur, po czym zebrała wodze tak mocno, że mniej więcej przygotowała klaczkę do skoku – i przefrunęły ponad okserem.

Udało się! Udało! – triumfalnie krzyknęła w duchu Saffron, galopując do mety. Minęła ją i spowołniła Kipipiri do kłusa, wyjeżdżając z parkuru. Zobaczyła, że ojciec biegnie do niej, omijając klaszczących widzów, i zaczęła do niego machać. Ale nie odpowiedział tym samym.

Saffron uniosła brwi. Dlaczego on się nie uśmiecha?

I wtedy usłyszała głos z megafonu, i poczuła się, jakby koń kopnął ją brzuch.

– O Boże! Co za straszliwy pech! Dzielna Saffron Courtney strąciła przedostatnią przeszkodę, kiedy była już tak blisko celu. Rany, ten drąg kiwał się całą wieczność, zanim spadł! Tak więc rozetka zwycięzcy przypada Percy’emu Toyntonowi. Świetny przejazd, młody człowieku!

Saffron prawie nie wiedziała, co się dzieje, kiedy stajenny odbierał od niej wodze Kipipiri. W głowie miała tylko jedno: Jak mogłam stracić ten głupi, durny, łatwy drążek? Łzy nagle napłynęły jej do oczu i ledwo cokolwiek widziała, gdy ojciec zdjął ją z siodła i przytulił do piersi, ściskając mocno, zanim postawił ją na ziemi.

Przywarła do niego, obejmując go za nogi, a on gładził ją po włosach.

– Jestem lepsza niż Percy, wiem, że jestem – wykrztusiła przez

ły. Kiedy podniosła głowę, na twarzy miała tyleż wściekłości, co rozpacz. – Przegrałam, tato, przegrałam! – krzyknęła. – Nie wierzę... przegrałam!

Leon dawno się nauczył, że w takich sytuacjach nie ma co przemawiać córce do rozsądku. Temperament miała szalejący jak afrykańska burza, ale złość mijała jej tak samo szybko jak ta burza, a potem Saffron rozjaśniała się niczym słońce nad sawanną i promieniowała równie mocno.

Odsunęła się od ojca, zerwała z głowy toczek, cisnęła go na ziemię i kopnęła daleko.

Leon usłyszał za sobą pełne dezaprobaty chrząknięcie i odwróciwszy się, zobaczył majora Bretta, marszczącego czoło na ten pokaz dziewczęcej złości.

– Powinieneś poczytać tej młodej damie Kiplinga, Courtney.

– Bo zachowuje się jak małpa z *Księgi dżungli*? – spytał Leon.

Major nie dosłyszał żartobliwej nuty, a może uznał, że to nie chwila ani miejsce na żarty.

– Dobry Boże, nie, człowieku, oczywiście, że nie! Mam na myśli tamten wiersz. Wiesz, triumf, porażka, oszuści i tak dalej.

– Ach, ale moja córka jest z Courtneyów i takie szczytne ideały to nie nasz zasięg. Albo triumfujemy, albo przegrywamy.

– No, muszą powiedzieć, że to niezbyt angielska postawa.

Leon się uśmiechnął.

– Pod wieloma względami daleko nam do angielskości. Zresztą ten wiersz, który cytujesz, *Jeżeli...*

– Właśnie ten.

– O ile pamiętam, Kipling napisał go dla syna, który zginął na wojnie, biedaczysko.

– Chyba tak, paskudna sprawa.

– I sedno, ostatni wers, jeśli mnie pamięć nie myli, brzmi tak: „I co więcej, będziesz mężczyzną wtedy”\*

---

\*Tłum. Jakub Karol Parnas.